

WŁADYSŁAW ORKAN

Wilija

WŁADYSŁAW ORKAN

PLANETY

Wilija

W chałupie Błażeja Szczypty panuje jakiś świąteczny nastrój. Wprawdzie nic się tu nie zmieniło od wczoraj; te same czarne, odymione ściany, te same sprzęty w izbie, nawet może więcej śmiecia leży na glinianej podłodze, ale widać z powszechnej „uwijacki”, z radosnego oczekiwania, malującego się na wynędzniałych twarzach dzieci, że ma nastąpić jakaś ważna chwila, jakieś wielkie święto... I te widoczne, zapowiednie znaki robią ten dzień niepowszednim, różnym od szarych dni całego roku. To dzień wilji Bożego Narodzenia...

Wiedzą już o tem i dzieci, bo im wczoraj matka zapowiedziała wyraźnie:

— Pamiętajcież se dobrze, żeby mi jutro żadne na karę nie zasłużyło!... Bo jak na wilję dostanie bicie, to je bez caluteńki rok to samo czeka...

A ojciec przybaczył im jeszcze dziś rano napomnienie matki, gdy wychodząc z ciupagą uciąć podłazniczkę, popatrzał na nie z napół surowym uśmiechem i rzekł od progę:

— Nie dokazujcie, ino słuchajcie mamy, bo „na wiliją — dzieci biją”...

Tereska nie potrzebowała napomnienia; miała już piętnaście lat i właśnie pomagała matusi w zarabianiu ciasta z jęczmiennej mąki, ale średni Wojtuś, a zwłaszcza najmłodszy Józus, który w izbie robił hałas za dziesięciu — ci dwaj zbereźnicy, gdyby nie zapowiedź całorocznej kary, nie siedzieliby tak spokojnie w kącie...

— Teres! — zwróciła się matka do dziewczyny, która z zagiętymi po łokcie rękawami lnianej koszuli mieszała ciasto na nieckach — umyj se ręce i zabier się do innej roboty. Ja to już sama skończę. Przynies karpiele z piwnicy, obier je, a potem przygotuj grzyby i kapustę...

— Dyc jeszcze czas... — zauważyła Terenia, nie chcąc przerywać milej roboty. Lubiała patrzeć, jak się jej ciasto wymykało z pod drobnych paluszków.

— Nie czas, nie, bo wieczór na ramieniu. Kież się uwarzy?... A groch trza długo gotować, coby uwrzał...

Tereska, rada nie rada, musiała słuchać. Wyjęła leniwie ręce, oplukała w ciepłej wodzie, odwinęła rękawy i przeszła z koszykiem do piwnicy.

Matka tymczasem wymiesiła do reszty ciasto, zarobiła drożdże i ustawiła niecki na piecu.

— W cieple może się prędzej ruszy... — szepnęła do siebie i zabrała się do gniecienia bryndzy na szerokiej misce, lejąc mleko słodkie i bijąc pół kopy jaj.

Dwaj chłopcy przybliżyli się ku niej.

— Mamusiu, co to będzie? — zapytał nieśmiało młodszy.

— Kołaczki będą...

— Dziś?... — spytał starszy.

— Dziś póst... nie wiesz o tem? Wilija...

— To nic nie będziemy jeść, bo mama powiedziała Teresie, że dopiero na wieczór ugotuje...

— Na wiliją... — oświadczyła matka.

— To dopiero wieczór wilija?... — pytał żałośnie młodszy.

— Cały dzień wilija, ale się dopiero na wieczór je...

— Na wieczór!... — szepnęli smutno obydwa i spojrzeli ku garnkom, stojącym rzędem na nalepie.

Niezadługo wróciła Tereska i jęła się łupienia kartofli. Matka pokończyła swoje, zapaliła w piecu i szła robota po robocie, rażno, wartko... W dymnej izbie wisiało oczekiwanie rok niewidzianej wilji...

Niebawem i Błażej wrócił z podłaznicą. Zmarzył jak sęk, bił kerpcami o ziemię i pchał się ku piecowi...

— Mróz, jak sto djabł...

— Cit!... — pogroziła mu żona — wilija dzień święty... Nie obrażaj Boga i ku piecowi się nie pchaj, boś nie piecuch!... Jeszcze mi do ciasta naprószyysz. W izbie nie umarzniesz...

Błażej, zbity z tropu, łypnął oczami, jeszcze raz kerpce jęknął o ziemię i pognał do stajni, wrzucić wołom garść siana. O woły dbał, jak każdy chłop, który im ma co dawać...

— Tereska! — zbaczyła se matka — leć no za ojcem, niech zrucie drobnego siana...

— Na stół! Prawda! — klasnęło w dłonie dziewczę i pobiegło za ojcem na boisko.

Matka przykładała drew do pieca. Dym walił się na izbę i sięgał prawie do samej ziemi. Dusila się kobiecina, raz po raz wycierała oczy fartuchem i uparcie nie odstępowała nalepy...

— Dyc się przecie musi przewalić... — powtarzała głośno.

— Mamo! szczypie! dym!... — wołał Józus.

— To idź do izdebki... czemu tu siedzisz?...

Wojtuś pociągnął braciszka, rzucili się strzałą przez sień, drzwi tylko do izdebki zakrzypiały... Dym pchał się otwartymi na oścież drzwiami, ale z izby nie ustępował. Wszędzie go było pełno.

— Niech będzie pochwalony!... — rozległo się w sieni.

— Na wieki wieków!... — wypadło od nalepy. Błażejowa przetarła lepiej oczy, nachylając się, by dojrzeć, kto tam taki...

Na progu zarysowała się ciemno, jak we mgle, chuda postać.

— A, to ty, Jagnieś!... Pójdź-że dalej, ale tu dym...

— A tam mróz, sto razy gorszy od dymu... — odpowiedziała zgrzytliwie i przypadła do nóg gospodyni. — O, moja gosposiczko!...

— Nie schylaj się, nie... Skądże idziesz?

— Pytajcie się, kaj idę... bo sama nie wiem. U ludzi wilija, a u mnie zawdy póst...

— No, siądźno, siądź, nie narzekaj — mówiła łagodnie gospodyni. — Zostaniesz na wiliję u nas. Nie dużo nas, to się zmieścisz...

— O, moja gosposiczko!... — drugi raz przypadła do nóg Błażejowej. Nie miała słów podzięk. Ona, biedna komornica, raz będzie na „porządnej wilji”, w ciepłe, przy pełnych miskach... Zdumiona nieoczekiwanem szczęściem, siadła nieśmiało na ławie.

— Cóż ta u ludzi słyhać? — spytała po małej chwili gospodyni.

Jagnieszka nie odpowiadała, rozbierając w myśli zaprosiny, nie dowierzając jeszcze... Gospodyni powtórzyła zapytanie.

— U ludzi? u ludzi, pytacie?... Jak zwyczajnie na wilję — każdy ciągnie do chałupy i znosi, co może... Jasięk z Brzegu kupił worek mąki od żyda...

— Czy mu już brakło ziarna?

— Co mieli, to zjedli na jądwencie. Ho! nie każdy to ma swoje, nie każdy...

— No i pomyślijcie, kaj ta do przednowku, a już kupują...

— La biednych cały rok przednowek.

— Dyc tak, nie inaczej... — zadumała się gospodyni, patrząc z założonymi rękami w trzaskający ogień. Myślała o przyszłości, o dzieciach swoich... „Dziś jeszcze mają... ale potem, za jakiś czas... czy się obejdą na wiliję o swoim? Czy ich bieda nie zmusi kupować — i za co?...”

— Rusza się... rusza!... — wołał wesoło mały Józus, który już wpadł z izdebki i wskazywał rozwartymi palcami na niecki. Jagnieszka podniosła się z ławy.

— Bez uroku! piekne ciasto. Będą się kołaczki darzyć...

— Oh, już czas! a ja się zagadała... — karciała się gospodyni. Zdjęła z pieca niecki i przyklepywała dłonią ciasto, które wypychały na boki żywe drożdże.

Błażej wszedł do izby, a za nim wbiegła Teresa, niosąc na naręczku drobne siano.

— Cóż tak siedzicie? — zburczała ich gospodyni. — Tereś! Bój się Boga, to już dawno z południa, a jeszcze ci nic nie wre... Kładź-że drewna na ogień i gotuj co tchu! Siano podścielisz na dość czasu...

Komornica schyliła się z bojaźnią do kolan gazdy, pytając nieśmiało, czy nie będzie markotno, że ją gazdzina zatrzymała na wiliją... Chłop się rozśmiał dobrodusznie. Więc, bardzo rada, pozwijała się w kłębek i siedziała odtąd cicho w kącie, pragnąc jak najmniej miejsca zajmować...

Tereska zwinęła się koło nalepy, podnieciła ogień. Z garnków buchała para na izbę, z której już dym ustąpił drzwiami i okiennicą na górę... Matka rozklaskiwała placki, kładła na nie bryndzę i sadzała do pieca, żegnając je krzyżem, by się lepiej darzyły... Kolacze rumieniły się w piecowym warze, rosły, a dzieci miały z tego okrutną uciechę, tylko, że o mało się im bicia nie dostało, bo podłaziły matce pod łopatę, na której wsadzała placki.

Błażej zaś „śwarniał się” po izbie tu i tam. Bydłu polanie przyniósł, podłóżniczkę obcinał, ale i głód mu ścisnął wnętrzności, bo często zazierał do garnków, rychło się uwarzy...

Mroczyło się powoli... Nadchodził wilijny wieczór. Czuć go już było w podnieconej gorączce oczekiwania, malującego się na zgłodniałych twarzach. Nie dziwota — od rana nic nie jedli, żeby na wiliję mózdz więcej przelknąć i bardziej się ucieszyć...

Matka już powsadzała placki, zatkała piec i zajęła się przystrojeniem wieczery...

Cztery duże miski stały na skrzyni. Rozmaite „warzywo” z garnków wypełniło je po brzegi.

Podczas, gdy się jedzenie chłodziło, zaścielono w izdebce stół drobnym sianem i przykryto lnianą paruchą.

Wszyscy przeszli do izdebki i poklękli na ziemi...

— „Pobłogosław, Panie, te dary...” — mówił z przejęciem Błażej, a inni powtarzali za nim...

Tylko mały Józus nie uczuwał tego nastroju religijnego, pierwszy wygramolił się za stół na ławę i wybrał swoją łyżkę, a w czasie modlitwy zjadł dwa opłatki, rozważnie pominawszy leżący przed sobą, bo wiedział, że ten mu i tak nie ucieknie...

Z przejęciem tej ważnej chwili obsiedli stół, a gdy gospodyni pownosiła miski i zajęła swe miejsce, poczęli się łamać opłatkiem... Łamali się naprzemian wszyscy, po dwa, po trzy razy. Dzieci chichotały głośno, komornica lży miała w oczach; powaga chwili rysowała się w twarzy Błażeja i żony jego... Ręka mu drżała, gdy jej podawał opłatek...

— Niech Pan Bóg dobry pozwoli dożyć... doczekać drugiej wiliji w szczęściu... zgodnie — pocałował krucze włosy żony. Komornica się nażyczyć nie mogła obojgu, że ją tak przygarnęli...

Wesołość powróciła, gdy matka podała pierwszą miskę. Rzucili się zgłodnieli i wylawiali drewnianymi łyżkami okrągły groch w brunatnej wodzie... Potem szła kapusta z grochem i suszonymi grzybami, polewka śliwowa z ziemniakami, na ostatku karpiele ze słodkim mlekiem...

Dwie miski wypróżnili z kretelem, na trzeciej zostało na dnie mało co, na ostatniej najwięcej...

Najedli się do syta, jak w żadnym dniu całego roku — i to była ich „wilija”...

Matka pozlewała resztę jada bydłu na polanie.

— Przecie i ono czuje, że dziś o północy zjawi się Zbawiciel świata — mówił Błażej. — Niech zje, niech i ono ma wiliję, jak się patrzy...

Po wieczery, ojciec wniósł podłóżniczkę do izdebki, siadł przy stole i począł wycinać nożyczkami kółka z opłatków kolorowych. Dzieci przysunęły się ku niemu, zapatrzona, szczęśliwe, jak nigdy...

Gdy gospodyni wyjęła upieczone kolacze i wyniosła na chłód, a Tereska skończyła odbywać się z bydłem — wszyscy znaleźli się razem w ciepłej izbie, gwarząc wesoło i ubierając podłóżniczkę...

I wieczór prędko zleciał. Przed północą wpadł Wojtek z Doliny, zmarznięty, jak kolec, nie mogąc nawet palców rozprościć, w których dzierzył zadymioną latarkę...

— Idziecie na jutrznię?

— Idziemy...

— To się zbierzcie.

Tańczył po izbie, by się jako rozgrzać, a tymczasem Błażejowa z Tereską wdziwiała lachy. Błażej się obuwał i pchał ociepiki słomy do kerpców, bo mróz nie śpasuje...

Wnetki się zebrawi i poszli razem na jutrznię. W chaupie została komornica z dwojgiem dzieci, uszczęśliwiona, że posiedzi w ciepło po takiej uczcie; miała jednak niemało kłopotu

z Józusem, który nie mógł usnąć i wrzeszczał co chwila, że mu „wilija siedzi w brzuku i gniecie”...

Ten utwór nie jest objęty majątkowym prawem autorskim i znajduje się w domenie publicznej, co oznacza że możesz go swobodnie wykorzystywać, publikować i rozpowszechniać. Jeśli utwór opatrzony jest dodatkowymi materiałami (przypisy, motywy literackie etc.), które podlegają prawu autorskiemu, to te dodatkowe materiały udostępnione są na licencji Creative Commons Uznanie Autorstwa – Na Tych Samych Warunkach 3.0 PL.

Źródło: <http://wolnelektury.pl/katalog/lektura/planety-wilija/>

Tekst opracowany na podstawie: Władysław Orkan, *Planety*, Biblioteka Domu Polskiego, Warszawa 1927.

Wydawca: Fundacja Nowoczesna Polska

Publikacja zrealizowana w ramach projektu Wolne Lektury (<http://wolnelektury.pl>) na podstawie tekstu dostępnego w serwisie Wikiźródła (<http://pl.wikisource.org>). Redakcję techniczną wykonał Wojciech Kotwica, a korektę ze źródłem wikiskrybowie. Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Okładka na podstawie: Vincent@Flickr, CC BY 2.0

Wesprzyj Wolne Lektury!

Wolne Lektury to projekt fundacji Nowoczesna Polska – organizacji pożytku publicznego działającej na rzecz wolności korzystania z dóbr kultury.

Co roku do domeny publicznej przechodzi twórczość kolejnych autorów. Dzięki Twojemu wsparciu będziemy je mogli udostępnić wszystkim bezpłatnie.

Jak możesz pomóc?

Przekaż 1% podatku na rozwój Wolnych Lektur: Fundacja Nowoczesna Polska, KRS 0000070056.

Dołącz do Towarzystwa Przyjaciół Wolnych Lektur i pomóż nam rozwijać bibliotekę.

Przekaż darowiznę na konto: [szczegóły na stronie Fundacji](#).